

Popularność i filantropia

Rozmowa z Anną Dymną

— Ci, którzy głosowali na Ciebie w plebiscycie „GK”: „Ludzie roku 1994” uzasadniali wybór nie tylko wybitnymi osiągnięciami aktorskimi, ale częstym udziałem w akcjach charytatywnych. Dlaczego to robisz?

— Jeden z kolegów powiedział mi: „A, ty to się wszędzie musisz pchać”, próbując opacznie uzasadnić mój udział w akcjach i zbiórkach „na rzecz...” jako chęć zdobycia większego poklasku. Tymczasem jest dokładnie na odwrót, tzn. popularność, którą zdobyłam swoją pracą aktorską, wykorzystuję w akcjach dobroczynnych typu: „Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy”, „Bądź świętym Mikołajem”, czy zbieranie datków na cmentarz Rakowicki. Czuję wręcz moralny obowiązek, żeby brać w nich udział, widząc jak bardzo jestem użyteczna. Ludzie popularni więcej i szybciej potrafią zbierać. Ostatnio na cmentarzu w pół godziny zapełniłam puszkę, a ponieważ nie miałam nowej, ludzie wrzucali mi pieniądze do kieszeni. Miałam wypychane wszystkie kieszenie pieniędzmi, co najlepiej świadczy o zaufaniu, jakim mnie darzyli. Z kolei jak można odmówić udziału w akcji zbierania na dzieci chore na raka? Przecież to przepiękna inicjatywa. W Orkiestrze Świątecznej Pomocy młodzi ludzie pokazali nam, starszym, że nie zawsze należy tylko się bić, klócić, walczyć o władzę. Udowodnili, że nawet rock, wrzaski — bo tak nazywamy my, starsi ów rodzaj muzyki — można wykorzystać w dobrym celu.

W tym roku strasznie wytrzymałam na mrozie, ale zebrałam 10 milionów. Od razu, gdy stanęłam przy Siennej, otoczył mnie tłum. Na szczęście był tam kosz na śmieci, o który oparłam skrzynkę i przez półtorej godziny bez przerwy podpisywałam serduszkami ludziom. Niektórzy z nich dawali pieniądze, a inni, młodzi, również biorący udział w akcji — uważali, że pójście im łatwiej z moją dedykacją.

— Mówiłeś kiedyś, że każdy człowiek chce uchodzić w swoich oczach za dobrego, szlachetnego, itd. Wtedy lepiej się czuje...

— Oczywiście, czujemy się lepiej pomagając innym. Dlatego zazdroszczę bogatym ludziom, którzy mogą obdarzać biednych milionami. Sama dostaję setki listów z prośbą o pomoc pieniężną na wykupienie leków czy operację... To mnie poraża, tym bardziej że nie stać mnie na filantropijne gesty w takiej skali. Natomiast mogę pomagać, zbierając datki w różnych akcjach. Przeważnie towarzyszy mi syn Michał. Biorę go z sobą, żeby wiedział, iż ludziom należy pomagać, szczególnie teraz, gdy wszystko się przewartościowało i niektórym wydaje się, że ważne są tylko pieniądze. Chciałabym, żeby widział dookoła siebie także innych ludzi, z ich problemami i kłopotami... Poszerzając zaś wątek filantropijny o element psychologiczny... zauważyłam, że jeśli ktoś z moich bli-

skich ma jakiś problem z sobą, kryzys, to — choć brzmi to paradoksalnie — najlepszą radą jest poprosić go o pomoc,

jak najświętszą prawdę. Natomiast, gdy mówią im to wychowawcy — słowa odbijały się jak od ściany.



Anna Dymna: Czujemy się lepiej pomagając innym. Dlatego zazdroszczę bogatym ludziom, którzy mogą obdarzać biednych milionami.

Fot. Andrzej Kramarz

żebym czuł się potrzebny. Pomagając innym — sam zdrowieje. Natomiast muszę przyznać, że nie biorę udziału w żadnych balach dobroczynnych. Wolę zagrać za darmo przedstawienie niż bawić się, pić, by „sierotkom” było lepiej. Nie lubię też koncertów charytatywnych, ale z innych powodów: źle czuję się na estradzie, mówiąc przypadkowe teksty. Strasznie dużo mnie to kosztuje — nie umiem tego robić. Co innego gra w teatrze, gdy mam przy boku partnerów i gdy istotną rolę odgrywa kostium i charakterystyka. ...To mój chleb. Mają również sens spotkania autorskie, niedawno występowałam np. za darmo w więzieniu... Mogłam zaobserwować jak nieprawdopodobna jest siła popularności. W latach stanu wojennego miewalam wiele spotkań w szkołach i zauważyłam, że gdy po półgodzinie zaczynam mówić o potrzebie uczciwości, dobroci, prawości, to młodzi przyjmują ode mnie te słowa

— Mówmy jeszcze o pieniądzach. Niedawno aktor Jerzy Nowak, występujący w audycji telewizyjnej poświęconej Twojej osobie, twierdził, że od lat w Ciebie inwestuje...

— Ach, to nasza słodka tajemnica, która wyszła na jaw. Kiedy byłam młodziutką pannenką — p. Nowak podszedł do mnie i powiedział: dziecko, wiem, że masz małą pensję i jesteś taka chudziutka, więc jako twój sąsiad i kolega z teatru będę ci wypłacał co miesiąc pensję. Zaczął od 10 groszy, które albo zostawiał w kopercie albo wręczał mi osobiście co pierwszego. Po dwóch latach tej zabawy, usłyszałam jak jedna pani drugiej pani szepcze do ucha: dlaczego ten Nowak utrzymuje Dymną, pewnie jej dziecko zrobił? Niemniej, myśmy przez całe lata podtrzymywali tę tradycję, choć p. Nowak przeniósł się potem ze Starego do Słowackiego. Teraz po denominacji otrzymuję znów 10 groszy z przestroją, że nie mogą ich — broń Boże — prze-

hulać, roztrwonąć. A ludzie tego słuchają... Boję się tylko, że jak p. Nowak to przeczyta, to wstrzyma wypłatę...

— Cóż warte byłoby życie artysty bez otoczki anegdotycznej...

— Tak tworzą się małe tradycje, które upiększają życie. Ja wprowadzam je też w domu. Mój Michał wie np., że w Dzień Dziecka będzie zaproszony do „Florjanki” na obiad i czeka na to. Na Dzień Zakochanych natomiast mąż kupuje mi najdroższe kosmetyki ze sklepu Guerlaina przy św. Jana. Tak się u nas w domu przyjęło. Jeśli chodzi o tradycje w teatrze to podupadły one trochę ostatnimi czasy... Dawniej bywało więcej bankietów, przyjęć. Ale teraz znów wprowadzamy pewne tradycje, np. wspólną wigilię. Kawiarnia „Maska” Tadeusza Huka to też już jakaś tradycja.

— Sądzę, że pomiędzy aktorami grającymi przez lata w tym samym teatrze wytwarzają się specyficzne więzi.

— Wręcz uczuciowe! Nie wyobrażam sobie życia bez wielu kolegów, dla których — jak twierdzi mój Krzysztof — jestem strasznie wyrozumiała i tolerancyjna, wybaczam im awantury, hysterie czy alkohol. — Czemu dla mnie w domu nie jesteś taka? — pyta. — Z nimi jestem tylko od czasu do czasu, z tobą cały czas — odpowiadam. Po drugie wiem jak stresujący jest ten zawód, nawet największy aktor nie wytrzymuje napięcia i w którymś momencie „pęka”.

— Z kim jesteś najbardziej zaprzyjaźniona?

— Trudno mówić. Są pewne sprawy, których nie należy nazywać, po prostu czuje się je. Najściślejsze więzi nawiązują się, gdy gramy razem. Potem oddalamy się od siebie i znów zbliżamy. Oczywiście to wszystko nie ma nic wspólnego z napięciami erotycznymi. Erotyzm na scenie ma inny posmak. Ja myślę, że trzeba się bardzo przyjaźnić, żeby zagrać parę zakochanych: przełamać wstyd i blokadę. Gdyby jednak ludzie się zakochiwali — pewnie nie mogliby tego zagrać...

— Choć zapewne zdarzają się „wypadki przy pracy”...

— Możliwe. Ja nie zakochuję się w swoich partnerach. To przeszkadza w grze. Muszą być czyste układy. Sceny intymne są bardzo trudne — od strony technicznej wymagają precyzji, a jeszcze muszą być nasączone niby-prawdziwym uczuciem. Przecież nie zawsze gra się z ludźmi przy padającymi nam do gustu. Nie mogę powiedzieć reżyserowi: „Mnie się on nie podobają, chciałabym grać z kimś innym!”. Ktoś dostał rolę, ja dostałam rolę i musimy się zaprzyjaźnić. Czasem gra się z obcym człowiekiem. Zarówno ja się mogę wstydzić, bać czy żenować, grając z kimś, jak i ktoś — grając z mną. Kiedy byłam młodziutką i grałam z wielkimi aktorami, to musiałam pokonać mit czyjejś wielkości i zbliżyć się do niego. Wielki aktor nie zawsze pomagał, czasem stawał bariery. Różne doświadczenia miałam przez te 25 lat. Ktoś nie odpowiada ci fizycznie, psychicznie i chemicznie. Co wtedy? On ma cię dotykać, całować, a nawet pluć na ciebie. Zwykle miewalam wspólnych partnerów, ale raz grałam np. z kimś kogo organicznie nie tolerowałam. Gdy zbliżał się do mnie, robiło mi się niedobrze. A musiałam grać, że go kocham... Nigdy nie wiedział, co naprawdę o nim myślałam. Zresztą nikt nie wiedział i nie mógł wiedzieć, bo na tym polega aktorstwo.

— Pomówmy na koniec o relacji: mistrz — uczeń. W swojej bogatej karierze zapewne natrafiałaś na mistrzów. Teraz sama jesteś mistrzem dla młodszych...

— Oczywiście, te relacje istnieją i będą istnieć. Co prawda niektórym młodym wydaje się, że jeśli skończyli szkołę, to mogą np. starszej koleżance powiedzieć: „Spieprzaj babciu”, ale szybko się przekonują, że wzajemny szacunek jest podstawą wytrwania w tym zawodzie i że czas nikogo nie oszczędza. Uważam, że aktor rozwija się dopóty, dopóki ma nad sobą mistrza.

Gdy stwierdzi, że sam jest mistrzem i nikogo poza nim nie ma — powinien przestać grać. Tylko dzięki temu, że mam mistrzów, mogłam iść do przodu. Przyjaźniłam się Władysławem Hańcą, który mnie wprowadził w świat aktorski, opowiadając o tym co było kiedyś. Zosia Jaroszevska nauczyła mnie jak być kobietą — człowiekiem — aktorką. Lidia Zamkow pokazała mi, że teatr może być posłanictwem, rzeczą najważniejszą na scenie. Potem dostałam się pod skrzydła wielkiego mistrza Konrada Swinarskiego. Nauczył mnie, że zawód aktorski trzeba kochać, bo bez miłości nie ma żadnej sztuki. Jeśli kochasz to, co robisz — uskrzydla cię to, sprawia radość i jest piękne. Inni mistrzowie: Jerzy Jarczyński, Andrzej Wajda. Na jakąś odwagę trzeba się zdobyć, będąc młodym, przy Wajdzie, żeby dobrze zagrać! Dalej — Kazimierz Kutza, przy którym grając, zawsze chcę przeskoczyć siebie, żeby mu zaimponować... No i wszyscy moi koledzy aktorzy, od których czerpię co się da.

— A czy sama masz już swoich uczniów?

— Uczę od 4 lat w szkole teatralnej. Wydaje mi się, że mam z młodymi ludźmi dobry kontakt. Uczę ich tego, do czego dochodziłam przez lata pracy. Długo byłam najmłodszą w teatrze, taka maskotka. Mijał czas i nagle doznałam szoku, gdy przyszła do mnie młodsza koleżanka z prośbą o poradę. Zrozumiałam, że zaczynam występować w roli nauczycielki. W naszym teatrze jest na porządku dziennym, że pomaga się najmłodszemu, a nie wykazuje nad nim wyższości. Teatr jest wieczną szkołą aktorską, w której wszyscy uczestniczą jako mistrzowie i uczniowie, pomagając sobie nawzajem. I to jest piękne. Czynniki sobie uwagi, nikt się nie obraża. Nie ma tak, że przychodzi nowa koleżanka i mówimy: zobaczymy co pokaże. Dzięki temu nasz Stary Teatr jest taki, jaki jest. Wspaniały...

Rozmawiał: Józef Baran